

Boleczek, czyli z wspomnień i refleksji elbląskiego krajoznawcy

Gdy się mówi o elbląskim krajoznawstwie, to zawsze z nim w sposób nierozdzielny kojarzy się postać Bolesława Kołtuna. Właściwie nie wiem, czy możliwe jest oddanie za pomocą pióra niezwykłości tego zjawiska, jakim jest „Boleczek”, zwany także przez bractwo turystyczne „Prezesikiem” lub też „Szkielecikiem”. Krajoznawstwu poświęcił się bez reszty, oddał mu wszystkie swoje zdolności, czas, życie osobiste i niewyobrażalną pracowitość. Połączenie tych cech z życzliwością i wyrozumiałością dla ludzi, z obiektywizmem ocen wobec nich stosowanych, a zarazem z tłącym się zawsze optymizmem i pogodą ducha, wreszcie ze skromnością — powodowało, że do Boleczka o każdej porze dnia i nocy szło się jak „w dym”. Był on i jest duszą i sercem turystycznej elbląskiej gromady. To przeważnie u niego w mieszkaniu trwały gorące dyskusje, w których rozdzily się nasze plany i zamierzenia krajoznawcze, u niego fetowało się sukcesy, przeżuwało gorzkie porażki. Jego dom zawsze był i jest „oazą” prawdziwego krajoznawstwa. Boleczek ma pozycję wyjątkową, jest właściwie symbolem ciągłości życia turystyczno-krajoznawczego w Elblągu. Zawsze grał rolę katalizatora przyspieszającego likwidację kryzysów, które niejednokrotnie nawiedzały nasze środowisko. Nie będzie chyba przesadą, jeśli stwierdzimy, że jest prawdziwą ostoją „wędrownictwa”. Jan Szczuchura, w Biuletynie wydanym z okazji XX-lecia Klubu Turystów Pieszych „Delta” w Elblągu, w swoich ogólnych refleksjach i rozważaniach tak oto nawiązuje do Bolkowego tematu:

„Chyba się Bolciu nie gniewasz, że nie tak znowu dawno, dwukrotnie miałeś nocne odwiedziny zwariowanych klubowi-

czów, wiem, że, delikatnie mówiąc, pierwsza, czy druga w nocy nie jest zbyt przyzwyczajoną porą na odwiedziny. Jednak przyśzliśmy, a ty ze stoickim spokojem wpuściłeś nas do mieszkania. Patrzyłeś tylko tym swoim spojrzeniem, które mnie zawsze zbija z pantofelku; patrzysz tak zawsze, gdy jest coś nie w porządku. Właśnie tylko patrzysz i nic nie mówisz. Czuję się wtedy jak uczeń, który coś zbroił i nawet nie wie co. Wtedy nie wyrzuciłeś nas na zbity pysk — jak zrobiłby każdy szacowny obywatel, czekałeś — może się wyniesiemy. Gdy jednak nie okazywałeś takiego zamiaru, ugościłeś nas herbatą, ciastkami, a także czymś mocniejszym. Stąd mam pewność, że na ciebie zawsze można liczyć — w każdej sytuacji, nawet tej najmniej oczekiwanej. To prawda, że bardzo często nie możemy się dogadać, ale jeszcze częściej... dośpiewać. Jak tylko zaczynam jakąś piosenkę, to zawsze słyszysz: «nie fałszuj». Chyba dostajesz obsesji na tym punkcie, bo czasem w domu, gdy jestem sam i zaczynam coś nucić, to czekam tylko na Twoje „nie fałszuj”. Zart żartem, ale Ty wiesz dobrze, że nie przestanę śpiewać (i fałszować), jak też nie przestanę wybrzydząć i mieć własnego zdania na każdy temat — co wcale nie znaczy, że zawsze słuszne, ale własne. Tak, jesteś Bolciu potrzebny w Klubie, bo przecież zawsze potrzebny jest ktoś w miarę rozsądny, spokojny, kto potrafi załagodzić niejedną narastający konflikt. Twój upór też jest potrzebny. Postać Twoja zrosła się z «Deltą» na trwałe i chyba nikt z nas nie wyobraża sobie, by mogło być inaczej. Czasem dokuczamy sobie przez przekorę, ale nigdy chyba nie mamy zamiaru pokłócić się na poważnie. Cóż, przecież taki jesteś Ty, a

my uczymy się tego od Ciebie¹. I w tymże Biuletynie Andrzej Wiśniewski: „Jest jednak ktoś, o kim mówi się prawie na każdej stronie — to nasz Prezes Bolek Kochani, nie ma co dużo gadać, pomyślcie tylko: jak to dobrze, że Bolek jest wśród nas. Niech nasza radość starczy Ci za podziękę, stary druhu”.

Bolesław Koitun urodził się 10 stycznia 1921 r. w Psarach w woj. radomskim. Całą swoją działalność turystyczno-krajoznawczą związał jednak z Elblągiem, w którym zamieszkał od 1956 r. Tutaj ukończył Technikum Mechaniczne i rozpoczął pracę zawodową w Zamechu, gdzie pracował aż do przejścia na emeryturę. Jego twórcza działalność w Towarzystwie została dostrzeżona i przyniosła mu szereg wyróżnień: srebrną i złotą odznakę PTTK, złotą odznakę „Zasłużony w pracy PTTK wśród młodzieży”, srebrną i złotą odznakę „Zasłużony Działacz Turystyki”, medal 30-lecia sportu i turystyki woj. gdańskiego, medal „Zasłużony dla kultury fizycznej i turystyki”, medal „25 lat komisji turystyki pieszej”, medal „Za zasługi w rozwoju turystyki woj. gdańskiego”, odznakę „Zasłużonym Ziemi Gdańskiej”, odznakę i złoty medal „Opiekuna miejsc pamięci narodowej”, medal „Za zasługi w rozwoju Elbląga” i srebrny Krzyż Zasługi. Mimo przejścia na emeryturę, Boleczek nadal przejawia właściwą sobie „zwykłą” aktywność i pracowitość. W swojej długiej krajoznawczej wędrówce zebrał on tak wiele doświadczeń, tyle ma interesujących refleksji i wspomnień, że wydało mi się celowe jakąś część z tego bogatego materiału wydobyc i przedstawić, jak mniemam, ku pożytkowi i nauce wielu z nas, a szczególnie tych młodszych, którzy w krajoznawstwie dopiero zaczynają się rozsmakowywać.

ROMAN KLIM

Gdy sięgnę pamięcią do mojego dzieciństwa i młodości, to przypominam sobie, że zawsze byłem opanowany tęsknotą za czymś nieznanym, nowym. Będąc dzieckiem niejednokrotnie patrzyłem na siny,

daleki horyzont i ciągle zastanawiałem się, co też tam może być za tymi dalekimi lasami, jakie mogą być wsie i jacy ludzie. A horyzonty, tam na wschodnich rubieżach, były rozległe. I jak szczęśliwi wydawali mi się rzadko widziani harcerze, wędrujący latem polnymi drogami. Zazdrościłem im tego serdecznie. Nie wyzbyłem się tej tęsknoty za nieznanym i w latach młodości. Ruiny zamków, które zwiedzałem w mojej wyobraźni, zapęłniały się ludźmi: ryccerzami w zbrojach, szlachtą w kontuszach, karocami, krzykiem i wrzawą. Wszystko to ruszało się, żyło, działało. Nawet wtedy, gdy znalazłem się na przymusowej „wędrówce” na Dalekim Wschodzie czy Dalekiej Północy, nie pozbyłem się tego. Zapominałem o głodzie i chłdzie, o poniewierce i zmęczeniu. Zachwycałem się dalekimi górami wyłaniającymi się z mgieł. Wtedy myślałem wracałem do kraju, którego nie miałem możliwości poznać dokładnie. A tyle tam było do poznania, tym bardziej że to wszystko nasze własne, ojczyste. Potem powrót w wigilię 1956 r., upojenie polską mową i znów ta sama chęć poznania wreszcie tego wszystkiego, co rodzime.

Zacznalem od zwiedzania rowerem najbliższych okolic, potem coraz dalszych. Nie miałem ani kolegów, ani przewodników, ani map. Za najważniejsze uważałem poznanie ziem odzyskanych, tych ziem najmniej mi znanych, a przecież tak interesujących, innych, inaczej kształtowanych przez historię. Każdego roku kupowałem dwutygodniowe bilety turystyczne PKS i wypuszczałem się „w Polskę”. Zanim jednak wyruszyłem, za każdym razem przygotowywałem się jak mogłem najsolidniej, aby przy zwiedzaniu miejscowości znać ich historię. Duże usługi oddała mi książka Grabskiego 300 miast wróciło do Polski. Poza tym nie miałem wtedy dostępu do innych źródeł. Dzięki tym wędrówkom w ciągu kilku lat poznałem ziemie odzyskane od południa aż po północ. Zawsze z plecakiem na grzbiecie, śpiąc gdzie się dało, w stodolach, u gospodarzy, na dworcach. Czasami było niezbyt wygodnie, ale nigdy nie narzekałem na swój los. Zostało mi z

tamtých lat wiele wspomnień. Szkoda, że w tym czasie nie prowadziłem dokładnych opisów swoich wędrówek, tylko luźne notatki. Byłyby to na pewno miły pamiętnik.

Pierwszy kontakt z prawdziwymi turystami zawdzięczam notatce w prasie o mającej się odbyć wycieczce do Kruszwicy. Było to latem 1960 r. Poszedłem pod wskazany adres i tam wzięto mnie naprawdę pod opiekę, tak że od razu czułem się swojsko w tym turystycznym gronie. Ta grupa ludzi z Wojciechem Zajchowskim na czele tworzyła Koło Turystyczne PTTK. Pamiętam pełne zapału osoby: Marię Kostrzewę, Witolda Ławrynowicza, Tadeusza Zarobkiewicza, Julię Gryniewicz i wielu innych. Wszyscy oni tworzyli jedną zgraną wesołą paczkę. Rej w tym zespole wodził przewodniczący koła, dziś już nieżyjący kolega Zajchowski, nazywany „naszym Wojtkiem”. On był prawdziwym „wodzem”, obmyślał wyprawy, naznaczał zastępców, godził zwaśnionych, a nade wszystko uczył. Zawsze cierpliwy, zrównoważony, uśmiechnięty. Było coś w tym człowieku takiego, co kazało go uważać za kolegę, kumpla, a równocześnie szanować.

Jesienią 1960 r. z Koła powstał Klub Turystyki Pieszej, który później przyjął nazwę „Delta”. Był to pierwszy klub turystyczny na naszym terenie. Początkowo nie zbierałem punktów na OTP ani GOT, bo mówiłem sobie, że one nie są mi potrzebne. Uważałem to za niepotrzebną zabawę. Wędrowałem sam lub w gromadzie, bo tak mi się podobało, bo czułem taką potrzebę, bo chciałem poznać nowe, nadrabiając tyle lat straconych. Dopiero potem zabrałem się za zbieranie punktów do odznak turystyki kwalifikowanej, kiedy byłem już prezesem Klubu. Na wszelkiego rodzaju zlotach i rajdach starałem się podpatrywać innych, bardziej doświadczonych ode mnie turystów, aby potem ich naśladować. To mi dużo dawało. Ba, próbowałem nawet wyruszać w góry, początkowo w łagodniejsze pasma Karkonoszy, Sudetów i Gorców. Trzymałem się kureczowo Klubu, chociaż stara wiara z czasem prawie w całości odeszła. Marysia Kostrzewa, Witek Ławrynowicz, a przede wszystkim Woj-

ciech Zajchowski. Wielu odeszło ze względów rodzinnych, inni z uwagi na zdrowie, a niektórzy dlatego, że nie odpowiadała im atmosfera w klubie i w oddziale.

Choć brałem udział w imprezach, nie włączałem się do rozgrywek wewnątrzklubowych, po prostu one mnie nie interesowały. Stojąc na uboczu przyglądałem się im i pytałem sam siebie, czego ci ludzie nawzajem od siebie chcą. Prawda, że z Klubem w tym czasie nie było za dobrze. Prezesem, po licznych przetarasowaniach, został Józef Bagiński. Był to bodaj najtrudniejszy okres podczas istnienia Klubu, który chylił się ku upadkowi, a główną przyczyną tego był brak własnego, choćby najskromniejszego kąta. Dom Wycieczkowy całe lata był w remoncie, wielu rozgorączkonych, dawniej aktywnych działaczy, odeszło. W wycieczkach przez nas organizowanych w większości brała udział młodzież szkół podstawowych. Józek dwoił się i troił, ale *nec Hercules contra plures*. Ja mu wiernie, na ile pozwalał mi czas, pomagałem. Pomimo trudności ciągłość jeściennych rajdów została jednak utrzymana. Mieliśmy także w tym krytycznym czasie sporo ciekawych wycieczek na zupełnie nieznane nam dotąd tereny. Pamiętam niektóre z nich, na przykład nad jez. Warkołki, Jez. Zielone, do Markowa czy Rybaków. Mimo to jednak, na te wycieczki nie mieliśmy wielu chętnych. Józek organizował też wyprawy w Góry Świętokrzyskie oraz obozy wędrowne w inne pasma górskie. Niejedno miłe wspomnienie zostało w pamięci z tych wypraw.

Kiedyś Bagiński rozesłał zaproszenia na zebranie sprawozdawczo-wyborcze do wszystkich byłych członków Klubu. O dziwo, przyszło na nie nadspodziewanie dużo „klubowiczów”. Być może, że niektórzy przybyli z ciekawości, inni namówieni przez niezmordowanego Józka, ale w rezultacie było odpowiednie quorum i zebranie było prawomocne. Tu wyszło na jaw, co ukartował sobie kolega Bagiński. Gdy przyszło do wyborów Zarządu i Prezesa, kategorycznie odmówił swojej kandydatury i wskazał moją. Byłem przerażony. Ja — prezesem? Nic nie pomógł mój upór. Za-



Na trasie wycieczki Św. Kamień — Kadyny w 1968 r. — chwila odpoczynku. Pierwszy z prawej — Bolesław Kołtun

częły się perswazje, prośby. Uległem. Wiedziałem, że nie podołam zadaniu, które jest ponad moje siły i umiejętności. Józef obiecał jednak najsolidniej mi pomóc. Początkowo rzeczywiście nie wiedziałem, jak się do niektórych rzeczy zabrać lub coś załatwić. Z czasem oswoiłem się z tą narzuconą powinnością, jednak drażniło mnie do końca, gdy zwracano się do mnie per „prezes”. Zgodnie z obietnicą Józek w niejednym mi pomógł, zwłaszcza w początkowym okresie. Stało się wkrótce to, czego ani on, ani nikt inny nie przewidywał. Klub drgnął i jakby zbudził się z zimowego snu. Jednak trzeba obiektywnie powiedzieć, że na ożywienie działalności nie wpłynął wybór nowego zarządu, zrzucił to po prostu przypadek.

Jak już mówiłem, klub nie miał własnego pomieszczenia, więc zebrania zwoływano, gdzie się dało, w NOT, w prywatnych mieszkaniach, co, rzecz zrozumiała, było i krępujące, i niewygodne. Aż tu bomba! Koleżanka Wiśniewska zaczęła pracować w Elbląskim Domu Kultury i przez swego męża Andrzeja dała znać, że u nich jest nie wykorzystane pomieszczenie, z którego będziemy mogli, oczywiście po uporządkowaniu, korzystać. Była to piwnica zupełnie nie zagospodarowana, odrapana i pełna gruzu. I tutaj klubowicze pokazali, co po-

trafią. Ściągali deski, robili ławy, stoły, malowali i ozdabiali ściany. Był to zryw zupełnie nieoczekiwany. Wszystko to robiono społecznie, wieczorami, po pracy. Kto co miał w domu ściągał do „naszej piwnicy”: gwoździe, obrazy, świeczniki... Wodźcą był Zygmunt Pawłowicz.

Po kilkunastu pracowych wieczorach, pomieszczenie wyglądało zupełnie przytulnie. W czasie wizytacji dyrekcji EDK wszyscy byli oczarowani tym, co dotąd zrobiono. Nie wierzyli, że zrobiliśmy to własnym sumptem. To podnosiło na duchu. Zainteresowała się nami redakcja „Głosu Wybrzeża” i po wizycie redaktora u nas ukazał się obszerny artykuł o klubie. W tej naszej piwniczce było nam naprawdę dobrze. Zresztą dyrekcja EDK szła nam na rękę. Nie wiem, kto wysunął propozycję, ale chyba Andrzej Wiśniewski, aby w kawiarni „Uśmiech” urządzić wieczornice. Wszyscy, po gorących dyskusjach zgodzili się na to. Ustaliliśmy, że raz w miesiącu, w czwartek będziemy je organizować. Tematy w ogólnych zarysach uzgodniliśmy na cały rok, z tym że, oczywiście, mogły one ulegać zmianom. O ile się nie mylę, pierwszą wieczornicę prowadził kol. Wiśniewski. Trzeba przyznać, że Andrzej organizował najwięcej wieczornic, a jego ulubionymi tematami były góry i narciarstwo.

Sporo wieczornic prowadziłem sam. Organizator wieczornicy miał rozliczne obowiązki, takie jak opracowanie tematu, zamówienie sali, uzgodnienie tematyki z upatrzonym prelegentem, wybranie odpowiedniego filmu, sporządzenie notatki do prasy itd. Do tego dochodziła odpowiedzialność za przebieg samej wieczornicy. Jako prelegentów zapraszaliśmy interesujących ludzi, o bogatym i barwnym życiorysie, jak np. historyka Lasotę, redaktorów Czarnockiego i Gillowa i wielu innych. Wachlarz tematów był szeroki, np. *Pierwsze dni w Elblągu*, *Życie i twórczość J. Wybickiego*, *Osobliwości przyrodnicze Ziemi Elbląskiej*... Z frekwencją było różnie, ale kilkadziesiąt osób zawsze się znalazło, a niektórzy zostali stałymi bywalcami naszych wieczornic.

Chodziły mi po głowie różne pomysły. Czy nie należałoby zorganizować rajdu zimowego, aby zapelnąć ten martwy sezon? Mieliśmy początkowo tylko jeden jedyny rajd jesienny, a w 1968 r. zorganizowany został przez Oddział PTTK i przy naszej pomocy rajd wiosenny. Postanowiliśmy — oczywiście przy poparciu nieodżałowanego kierownika Oddziału — Józefa Cemerzewskiego urządzać go stale. W 1968 r. mieliśmy u nas kilka bardzo miłych imprez: „Pieczony baran” przy zwalonym moście na Pasłęce, „Sobótki” nad jeziorem Narie, „Pieczona kaczka” w Jarze 14 mostków. Nie znaczy to, abyśmy nie brali udziału w imprezach organizowanych przez inne oddziały PTTK, czy też kluby. Jednym słowem nasz klub wyraźnie się rozkręcał. Jak zajrzemy do kroniki, to znajdziemy tam zanotowane wszystkie nasze niedzielne wycieczki piesze. Odbýwały się one niemal w każdą niedzielę, na ile pozwalały warunki atmosferyczne. Na moją propozycję, aby wznowić rajd zimowy na raty, wszyscy się zgodzili. Ucieszyło mnie to bardzo.

Tak więc po czteroletniej przerwie zorganizowaliśmy rajd, który trwał całą zimę od grudnia 1968 do marca 1969 r. Wydaliśmy metalowy znaczek z motywem śnieżynki, tak jak w I rajdzie, tylko w innym układzie. Tak się złożyło, że byłem kierownikiem wszystkich dotychczasowych zimowych rajdów. Mieliśmy teraz na naszym terenie trzy stałe imprezy: zimowy rajd na raty, elbląski wiosenny rajd po Wysoczyźnie Elbląskiej i rajd jesienny. W większości uczestniczyła w nich młodzież szkół podstawowych i średnich, ale sporo było i ludzi dorosłych. Liczebnie przeważali, oczywiście, mieszkańcy Elbląga i najbliższych okolic, ale pojawiały się też drużyny z głębi Polski, z województwa warszawskiego czy łódzkiego.

Nasze jesienne rajdy nabrały takiego rozgłosu, że musieliśmy opracować 15 tras pieszych, aby można było przyjąć wszystkich zgłaszających się. Największą liczbę uczestników mieliśmy w rajdzie z zakończeniem w Łęczu — ponad 4 tys. Powodowało to ogromne trudności na trasach,

noclegach, jak również w prowadzeniu ogniska na zakończenie rajdu. Warto wspomnieć, że za sprawą ogólnego zapału klubowiczów postanowiono własnymi siłami zorganizować w 1968 r. „Sylwestra” w Domu Wycieczkowym we Fromborku. W tym czasie mieliśmy na Wzgórzu Katedralnym przyjaciela, ks. Sianko, który na naszą prośbę w noc sylwestrową zagrał nam w katedrze na organach *Ave Maria*. To było wspaniałe! Zabawa trwała całą noc, a rankiem niektórzy, pomimo siarczystego mrozu, powędrowali nad Zalew Wiślany podziwiać wschodzące słońce.

Organizowaliśmy w dalszym ciągu „Sobótki”, ale były to imprezy mniejszego formatu (20, 30 osób). Większość z nich odbywała się nad jez. Narie i były one połączone z biwakiem. Sobótkowe ogniska przeplatano gawędami, wspomnieniami, wierszami i piosenkami, najczęściej do wschodu słońca. Wszystko to było spontaniczne, miłe, niezapomniane.

W marcu 1969 r. nasz Klub „Delta”, wspólnie z „Trampami”, klubem Stoczni Gdańskiej, zorganizował I zlot klubów woj. gdańskiego. Mieliśmy na nim ok. 30 uczestników, ale z każdym następnym rokiem liczba rosła i dochodziła do 100 i więcej osób. W końcu ze względów organizacyjnych musieliśmy ograniczyć liczbę przyjęć. Chcieliśmy, to znaczy „Delta” i „Trampy”, aby inne kluby także wzięły się za organizowanie przyszłych spotkań. Obiecywano, przyrzekano... W końcu wszystko „rozlało się po kościach”. Szkoda, bo były to bardzo miłe i pożyteczne spotkania. Gdy zaczęło zbliżać się dziesięciolecie klubu, ktoś, chyba Janek Szczechura, rzucił hasło: „10 imprez na 10-lecie klubu”. Miały to być imprezy większe, dobrze dopracowane, z wydaniem plaketek, przeważnie własnej produkcji. Za każdą imprezę odpowiedzialny był kto inny. Stwarzało to swego rodzaju konkurencję. Niektóre imprezy były bardzo ciekawe. Warto wymienić kilka z nich i ich kierowników: „Przylatujące ptaki” — Roman Klim, „Sobótki” — Andrzej Wiśniewski, „Pióropusznik strusi” — Józef Bagiński, „Nocna wypra-



Wycieczka do Św. Kanienia w 1969 r. Bolesław Kołtun podczas gawędy

wa" — Jan Szczuchura, „Złot kół i klubów Elbląga" — Bolesław Kołtun.

Mieliśmy jeszcze kilka imprez w tym roku, poza zaplanowanymi dziesięcioma. Do 10-lecia klubu przygotowywaliśmy się solidnie i ze znacznym wyprzedzeniem, tak aby można było dokładnie wszystko obmyśleć. Wybrano komitet organizacyjny ze mną jako prezesem klubu na czele. Za przebieg samej uroczystości odpowiedzial-

ny był kol. Andrzej Wiśniewski. Stanęliśmy wszyscy jeszcze przed jednym ważnym problemem, a mianowicie kroniką. Od 7 lat leżała nie tknięta, bez żadnego wpisu, zdjęcia, notatki. Czy było możliwe dokładne jej odtworzenie? Chodziłem, zbierałem znaczki i plakietki, notowałem wszystko, co kto pamiętał, w większości od ludzi, którzy „wybyli" z klubu i pozmienniali miejsce zamieszkania. Wypraszałem zdjęcia, jak nie za darmo, to płaciłem... z własnej kieszeni, bo klubowa kasa była pusta. Najbardziej przyczynili się do odtworzenia kroniki Józef Bagiński i Ludwik Sliwa. Często gęsto siedzieliśmy u mnie w domu do drugiej w nocy segregując zebrane materiały. Kol. Sliwa dostarczył bardzo dużo wybranych przez siebie zdjęć z różnych naszych imprez. Trudna to była praca, naprawdę benedyktyńska, ale wyciągnęliśmy kronikę niemal do ostatnich dni możliwie dokładnie. Sama uroczystość 10-lecia klubu „Delta" odbyła się 28 listopada 1970 r. w Elbląskim Domu Kultury, w kawiarni „Uśmiech". Dzięki pomocy oddziału, który nie żałował tym razem funduszy, i zaangażowaniu całego klubu spotkanie wypadło okazale. Pokazaliśmy wystawę zdobyczy turystycznych, były przemówienia, wiwaty, nagrody. Przyszło sporo gości z zaprzyjaźnionych z nami klubów. Potem huczna zabawa rozpoczęta według staropolskiego zwyczaju polonezem.

Jeszcze raz warto wspomnieć o „Pieczonaj kaczcze", imprezie urządzonej kilka razy i przeważnie w Jarze 14 mostków. Owjar znajduje się w okolicach Kadyn. Kiedyś był zupełnie dziki, trudno dostępny. Łatwiej w nim było spotkać dziką lub jelenia niż człowieka. „Pieczona kaczką" polegała na pieczeniu jej w glinie, w czym specjalizował się Franciszek Kamrowski a ceremonialnie polegał na dzieleniu jej pomiędzy niewspółmiernie licznych uczestników. Pieczenie łączyło się z biwakiem, co dodawało imprezie uroku. Wspomnę też i o „Andrzejkach", które odbywały się w wigilię Andrzeja, to jest 29 listopada, wieczorem, „pod parasolem" w Bażantarni, tam gdzie krzyżują się szlaki piesze. Po

latach, trochę może z lenistwa, a trochę ze względów atmosferycznych, przeniesiono się do klubowego pomieszczenia. To już, niestety, nie miało takiego uroku.

Na trwałe weszły w zwyczaj wesela klubowe. Zapoczątkowali je Boguś i Danka Warejkowie. Obowiązkiem młodych było przygotowanie „uczty”, a klubowicze sprawiali prezent, przygotowywali „cyrograf”, no i całą oprawę. Cyrograf pisano gotykiem i staropolskim językiem. Oboje młodzi składali uroczyście podpisy na stole przykrytym sztandarem klubowym i przyrzekali, że pomimo zmiany stanu nie mają zamiaru zrywać z klubem.

Kiedyś, gdy prezesował Bagiński, opracował on z grubsza szlak pieszy czerwony przez Żuławy z Malborka do Elbląga. Potem sprawa na jakiś czas poszła w zapomnienie. Aż wreszcie ją odkurzyliśmy. Roman Klim i ja przeszliśmy szlak, nanieśliśmy sporo poprawek, sporządziliśmy opis i po zatwierdzeniu wyznakowaliśmy. Wyznakowanie wiele kosztowało nas trudu, ale jedyny na Żuławach szlak pieszy został naniesiony na mapy turystyczne.

Wspomnę też o imprezie, może skromnej, ale wymownej, pod hasłem: „Grodzisko”. Złaz ten nie był liczny, bo gromadził przeciętnie ok. 70 uczestników i trwał przez jeden dzień. Ognisko urządzano przeważnie na grodzisku w Weklicach. Dzięki temu złazowi uczestnicy poznawali życie Prusów, dawnych mieszkańców tej ziemi. Gawędy przygotowywałem osobiście.

Mieliśmy zawsze kłopoty z opracowaniem tematu, nie wiedzieliśmy, komu powinien być poświęcony dany rajd. Zawsze mi się zdawało, że nasze rajdy nie spełniają swego zadania. Często zdarzały się kłótnie w klubie o to, co umieścić na plakietce. Od dłuższego czasu chodziła mi po głowie myśl aby obrać jakiś jeden temat dla poszczególnych rajdów. Pamiętam, że kiedyś zebrało się w klubie kilka osób i z nimi podzieliłem się swoimi myślami. Dziś już nie pamiętam, kto wpadł na tę myśl, Perucki, Szczechura czy ja, aby opracować historię Elbląga. W ten sposób opracowałem tematy na plakietki, dzieląc historię miasta na osiem tematów. Były tam m. in.

„Truso”, „Pożoga”, „Rozkwit naszego miasta”. Gazetki rajdowe na temat danej imprezy pisałem osobiście, poza jedną, którą napisała kol. Danuta Aszyk. Jednak nie na każdej imprezie były one wydawane.

Osobliwą historię ma złaz do Fiszewa. Każdy z nas słyszał lub czytał o tragicznych wypadkach w styczniu 1832 r. w Fiszewie*). Kiedyś w klubie mieliśmy wieczornicę z prelekcją, którą wygłosił dziś nieżyjący już red. K. Czarnocki. Nie pamiętam dokładnie, jaki temat ona miała, wiem tylko, że mówiono o Powstaniu Listopadowym, o wielkiej emigracji i wspomniano też o Fiszewie. Wieczorem, w czasie powrotu do domu Andrzej Wiśniewski zaproponował mi zorganizowanie złazu do Fiszewa dla upamiętnienia pomordowanych powstańców. Spodobała mi się ta propozycja. Podzielił się nią z kierownikiem biura Oddziału, który z miejsca się do niej zapalił. Kierownikiem pierwszego złazu do Fiszewa w styczniu 1972 r. został Andrzej Wiśniewski. Przy trzaskającym mrozie, z pomocą miejscowej organizacji ZMW, na miejscu tragicznych wypadków zorganizowano ognisko z gawędami, wierszami i piosenkami. Naprawdę udało się ta impreza, może dlatego, że zorganizowano ją tak spontanicznie. Była ona tym cenniejsza, że do jej urządzania włączyła się miejscowa młodzież, która robiła, co mogła, aby oprawa wypadła jak najokazalej. Wmurowano też kamień węgielny i wówczas wszyscy przyrzekali, że dołożą starań, by na tym miejscu stanął pomnik. Choć zapewne niewielu wierzyło, że zamierzenie to uda się zrealizować.

W następnych latach mnie przypadło w udziale kierowanie złazami. Dlaczego impreza ta chwyciła od samego początku? Początkowo organizowaliśmy ją bez żadnych pamiątkowych znaczków czy plakietek, które młodzież tak lubi. Dopiero po trzech latach, wspólnie z kol. Tomaszewskim, opracowaliśmy serię plakietek. Aby

*) Zob. Czesław Skonka, *Stadami uczestników Powstania Listopadowego na Pomorzu*. „Ziemia” 1981, szczególnie rozdział pt. *Pruskie zbrodnie na powstańcach* (s. 109–110) (red.).

złazy nie stały się nudne, postanowiłem, aby każdy z nich poświęcić innym rodzajom broni lub innym pułkom wślawionym w czasie powstania 1830—31 r. Tak powstała oryginalna i ciekawa kompozycja plaketek ze złazu do Fiszewa. Czołowe miejsce wśród nich zajmował „Orzeł z czasów powstania listopadowego”. Potem poszły „Podchorążowie”, „Czwartacy”, „Krakusi” itd.

Niez mordowany kierownik Oddziału PTTK Józef Cemerzewski dołożył starań, aby zainteresować naszymi złazami odpowiednie władze i w rezultacie w 1975 r. postawiono głąz z odpowiednim napisem, którego zresztą byłem autorem. Przy odsłonięciu głązu wystąpiła kompania honorowa WP. Władze wszystko wzięły w swoje ręce, opracowały program, one rządziły. Myśmy byli na uboczu, przyglądaliśmy się temu, prowadziliśmy trasy, zapomnieli, o których przy odsłonięciu nikt pół słowem nie wspomniał. Zapomniano. Orkiestra, wstęgi, mowy, kwiaty, salwy honorowe — było to wszystko uroczyste, ale i napsuzone. Mnie osobiście było przyjemnie i zarazem żal. Przyjemnie, że jednak pamięć po tych żołnierzach tułaczach nie zginie, po tych, co wybrali śmierć zamiast niewoli, że zostanie po nich ślad dla przyszłych pokoleń, a w tym przecież jest i moja cegiełka... Żal, bo mi się zdawało, że skończyły się nasze, może skromne, ale tak bogate w treści dotychczasowe złazy. Ale tak na szczęście się nie stało. Po odsłonięciu pomnika władze zapomniały o nim, a my nadal tak jak dotąd organizowaliśmy złazy i opiekowaliśmy się „swoim” pomnikiem.

Następne nasze złazy miały oprawę jeszcze barwniejszą, co pociągało zwłaszcza młodzież. Otóż kol. Zygmunt Nowak wypożyczał mundury czwartaków, w które ubierali się młodzi chłopcy szkół średnich. Stojąc na warcie przy pomniku wyglądali naprawdę wspaniale. Oficjalnie przy głązie, gdy zbierały się grupy rajdowe, zapalano znicze, zaciągano warty, składano kwiaty, grano „Warszawiankę” i następowało krótkie przypomnienie zdarzeń. Dalej ciąg imprezy odbywał się w zakłado-

wym domu kultury. Były więc wiersze, piosenki, konkursy i pogadanki. Czasami wydawano gazetki. Ponieważ byłem tzw. komendantem odpowiedzialnym za całość imprezy, więc do mnie należało opracowanie regulaminu konkursów i gawęd. Prawda, że nie wszystko sam robiłem, ale większość na pewno tak. Wszystkie projekty plaketek natomiast opracowywał kol. Marian Tomaszewski. Impreza ta widocznie podobała się uczestnikom, bo pisali lub dzwoniли do nas już wcześniej, aby przysłać regulaminy. Kierownik biura Oddziału miejskiego PTTK Józef Cemerzewski, zawsze pełen pomysłów, wysunął kiedyś propozycję, aby zorganizować zlot jesienny pod hasłem „Chrońmy naturalne środowisko człowieka”. Impreza polegała na tym, że młodzież szkolna wykonywała różne prace w Nadleśnictwie, a więc sadzenie drzewek, zbieranie żołądźi itd. Na zakończenie prac urządzano wspólne ognisko, posiłek i konkursy. Uczestniczyło w tych imprezach do tysiąca młodzieży z całego naszego województwa. Wszyscy, cały klub „Delta”, brali w nich czynny udział. Po latach Cemerzewski odszedł, przyszli nowi kierownicy, którzy o nic nie dbali, albo sprawy załatwiali tak byle jak, że młodzież, a także i my zniechęciliśmy się do tych imprez. A szkoda.

Wspomnę krótko o wycieczkach niedzielnych, których organizowaliśmy bez liku. Przeciętnie w ciągu roku było ich ok. 25, nie wliczając w to wszelkiego rodzaju większych imprez. Wycieczki organizowano bez względu na pogodę, w większości byłem ich kierownikiem. Zdarzały się okresy, że mieliśmy wielu chętnych, a wycieczki masowe, liczące np. po 70 osób, stały się uciążliwe dla kierownika i uczestników, którzy z nich nie mieli wiele korzyści. Organizowaliśmy wówczas wycieczki gwiazdziste, a polegały one na tym, że grupy startowały z różnych miejsc i spotykały się na wspólnym ognisku, które urozmaicano śpiewem, gawędami, no i pieczoną kiełbaską. Mieliśmy w klubie „Delta” kilkanaście spotkań z klubami i kółkami turystycznymi z innych województw, z Olsztyna, Helu, Gdańska czy Gdyni. Ja-

ko prezes reprezentowałem w takich wypadkach klub. Na ogół goście byli zadowoleni. Duża w tym zasługa klubowiczów, którzy dawali z siebie wszystko, aby gości przyjąć ze szczerą polską gościnnością.

W 1974 r. ukończyłem z pozytywnym wynikiem kurs przewodnika terenowego PTTK, co dawało mi uprawnienia do oprowadzania wycieczek. Kurs ten dał mi bardzo wiele, bo przede wszystkim pogłębił moją wiedzę o naszym regionie, a tymi wiadomościami mogłem na wycieczkach dzielić się z młodzieżą. Oczywiście, rola przewodnika wymagała ciągłego uzupełniania i pogłębiania wiadomości, ale to dawało mi dużo satysfakcji.

Wiele zadowolenia i miłych wspomnień przysporzyły mi wyprawy narciarskie, którymi przeważnie zajmował się Andrzej Wiśniewski. Ja występowałem jako uczestnik. Szczególnie niezapomniane były kilkudniowe rajdy na Suwalszczyznę. Piękne krajobrazy naszej „Syberii”, nowi ludzie, noclegi w prymitywnych warunkach, przeważnie w szkołach na podłodze, wszystko to nas pociągało. W ten sposób zdobyłem NON (małą złotą) i od 1980 r. zostałem przodownikiem narciarstwa nizinnego. Kilka razy wyjeżdżałem na obozy wędrowne w Gorce, Tatry i w słowackie Tatry. W tym wypadku grupy wędrowne rekrutowały się głównie z pracowników Zamechu. Funkcję kierownika całości pełnił zawsze Mietek Pierucki, a ja z reguły byłem jego pomocnikiem. Wędrując w górach zdobyłem małą GOT w stopniu srebrnym.

Przed administracyjnym podziałem Polski w 1975 r. byłem przez jedną kadencję członkiem Wojewódzkiej Komisji Turystyki Pieszej w Gdańsku. Podglądałem tutaj jej pracę, co w przyszłości bardzo mi się przydało, gdy po ustąpieniu w 1977 roku kol. Balawendera ze stanowiska przewodniczącego Komisji w Elblągu, zająłem jego miejsce. Czy praca Komisji wówczas przebiegała tak jak należy, i czy byłem z jej pracy zadowolony? Raczej nie. Plany z reguły układane mozolnie przeze mnie, nigdy nie były w całości zrealizowane. Oczywiście, niejedno zrobiono, ale można było wykonać o wiele więcej. Zdaje mi się,

że nie umiałem odpowiednio ustawić ludzi, a sam brałem za wiele na swoje barki. Na przykład zajmowałem się wojewódzkim referatem weryfikacyjnym OTP, znakowałem szlaki piesze i spełniałem wiele innych czynności. Rozumowałem słusznie, że tymi sprawami powinni zajmować się inni, ale widząc opieszałość członków Komisji brałem się sam za robotę i swoim przykładem pociągałem innych. Funkcję przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Turystyki Pieszej pełniłem do 1981 r.

Przez jakiś czas pełniłem funkcję, z braku innej odpowiedniej osoby, przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Ochrony Przyrody, ale, niestety, praca moja w tej Komisji była mniej niż nieznaczna. Po pierwsze nie miałem na to zupełnie czasu, a po wtóre zupełnie nie wiedziałem, jak się do tego zabrać, a nie było nikogo, kto by ukierunkował działanie tej Komisji. Przez kilka kadencji z rzędu występowałem jako członek Zarządu Oddziału Miejskiego PTTK i tutaj zajmowałem się działalnością programową, co szło w parze z moimi zainteresowaniami i nie odbiegało od mojej działalności klubowej. W tym też czasie byłem członkiem Zarządu Oddziału PTTK Zamech, którego działalność jednak była nikła.

Od lat uprawiam również kolarstwo, ale bez specjalnego zaangażowania, traktując je jako pewnego rodzaju urozmaicenie. Najbardziej mi odpowiada i uważam za najciekawszą turystykę pieszą. Jest ona turystyką trudną, wymagającą wiele wysiłku i samozaparcia, to prawda. Jednak jeżeli się chce poznać kraj naprawdę, z całym jego pięknem, to należy uprawiać turystykę pieszą. W tej dziedzinie mam dużą OTP w stopniu srebrnym i jestem przodownikiem turystyki pieszej na całą Polskę.

W tym czasie, gdy Elbląg znajdował się w granicach województwa gdańskiego, posiadałem uprawnienia strażnika ochrony przyrody, a także opiekuna przyrody i wówczas miałem pod swoją pieczę rezerwat „Kadyński Las”. Obecnie opiekuję się rezerwatem „Buki Wysoczyzny Elbląskiej”. Posiadam szereg innych uprawnień, m. in.

instruktora krajoznawstwa regionu, instruktora ochrony przyrody oraz instruktora szkolenia kadr PTTK.

W mojej 23-letniej działalności PTTK-owskiej często bywały takie okresy, że w domu byłem dosłownie gościem, czasami zazdrościłem tym kolegom, co mieli czas dla siebie, choćby na poczytanie książki. Zdarzały się takie chwile, iż wydawało mi się, że potrafię góry przesuwać, ale były

również i takie, że miałem ochotę wszystko „rzucić w diabły”. Potem, oczywiście, przychodziło opamiętanie.

Gdy patrzę z perspektywy czasu na swoją pracę w PTTK, to zdaje mi się, że niezbyt wiele zrobiono. A najbardziej boli mnie to, że coraz mniej spotyka się młodych, którzy by swój wolny czas chcieli poświęcić bezinteresownej pracy społecznej.